BOLESŁAW WIT ŚWIĘCICKI

TRIUMF I ŚMIERĆ
NA PODNIEBNYCH SZLAKACH

REPORTAŻ Z POBYTU W WILNIE POR. FR. ŻWIRKI I INŻ. ST. WIGURY NA DWA DNI PRZED KATASTROFĄ POD CIERLICKIEM NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIEM.

WILNO 1932

BOLESŁAW WIT ŚWIĘCICKI

TRIUMF I ŚMIERĆ NA PODNIEBNYCH SZLAKACH

3128327

REPORTAŻ Z POBYTU W WILNIE POR. FR. ŻWIRKI I INŻ. ST. WIGURY NA DWA DNI PRZED KATASTROFĄ POD CIERLICKIEM NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIEM.

W I L N O 1 9 3 2

192

A 38268

1000171965

Kwart. 10
Techn. 14

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Zakłady Graficzne „ZNICZ" Wilno, ul. Ś-to Ja

K1270/62/51

PRZEDSŁOWIE AUTORA.

W historycznym dniu dla lotnictwa światowego w sobotę 28 sierpnia 1932 roku zakończony został trzeci europejski „Challenge" samolotów turystycznych, zwycięstwem polskiego pilota, Wilnianina z pochodzenia por. Franciszka Żwirki. To, co pisała o tem zwycięstwie już dnia następnego cała prasa polska, jak niemniej prasa światowa da się streścić wstępem oryginalnej depeszy z Berlina korespondenta „Gazety Polskiej".

„Zwycięstwo! Upajające zwycięstwo!"

„Zwycięstwo polskiej maszyny, polskiego konstruktora, polskiego pilota, polskiego robotnika i polskiego materjału. Triumf siły polskich nerwów, mięśni i woli — triumf polskiego ducha!"

Zwycięzcy 36-letni porucznik lotniczych wojsk naszych Franciszek Żwirko i 30-letni konstruktor, współzałożyciel i współkierownik warsztatów samolotowych w podziemiach Politechniki Warszawskiej inż. Stanisław Wigura: musieli wziąć na swe barki ciężar realizacji zwycięstwa, celem zapłodnienia niem sił potencjalnych polskiego ducha, mięśni i nerwów polskich na dalsze podniebne loty.

Nie zasnęli, ani na moment na laurach i rozpoczęli loty propagandowe na rzecz polskiego lotnictwa i organizacji przyszłego przez Polskę „Challenge'u".

Po triumfalnym powitaniu przez Warszawę, w dniu 8 września mieliśmy ich już w Wilnie, rodzinnem mieście Żwirki, który przywiózł tu swego przyjaciela, by przedewszystkiem osobiście złożyć hołd „Tej, co w Ostrej Świeci Bramie". Wilno było zatem ostatnim triumfalnym etapem w życiu bohaterów.

Do następnego w Pradze Czeskiej, nie danem już im było dolecieć.

Na Śląsku Cieszyńskiem, pod Cierlickiem w niedzielę 11 września o godz. 8 rano nastąpiła, nieoczekiwana przez nikogo, chyba może tylko w przeczuciach bohaterów, mrożąca krew w żyłach katastrofa.

Żwirko i Wigura wraz ze swym zwycięskim samolotem RWD 6. ulegli w walce z panującym na podniebnych szlakach żywiołem.

W dniu 15 września 1932 r. na cmentarzu Powązkowskim w stolicy Polski Warszawie, na wieczność złożone zostały trumny, najgłośniejszych dziś niewątpliwie na świecie bohaterów odrodzonej Polski.

Jako dziennikarz, któremu danem było przeżyć najdłuższe wzruszające chwile radości przy boku bohaterów, gdy gościli w Wilnie, zdecydowałem się wydać swój reportaż (drukowany w „Kur. Wileńskim" tuż przed śmiercią i po śmierci lotników) w ramach skromnej książeczki, by tą drogą hołd swój dla orłów naszych utrwalić. *B. W. Ś.*

Wilno, dnia 16 września 1932 r.

NA LOTNISKU W PORUBANKU.

Fot. art. L. Siemaszko.

Fragment z powitania zwycięzców „Challenge'u" w Wilnie w dniu 8 września 1932 r. Na pierwszym planie obok bohaterów D-ca D. O. K. III gen. bryg. A. Litwinowicz.

PIĘĆ GODZIN Z ŻWIRKĄ I WIGURĄ.

Piątek 9 września.

I.

Przyjąwszy zaszczytne zlecenie Redakcji „obrobienia“ wizyty wileńskiej podniebnych zwycięzców raidu nad Europą, znalazłem się naprawdę w nielada kłopocie. W pierwszym dniu, to jest w pamiętny dla Wilna czwartek 8 września, gdy zwycięski ptak R. W. D. 6 splanował na lotnisku w Porubanku, w żaden sposób nie można się było docisnąć prawie do najbliższego otoczenia Żwirki i Wigury. Na lotnisku panował, jak wiadomo tłok niezwykły, zresztą pierwsze miejsca w akcie powitalnym z natury rzeczy przypaść musiały władzom i miejscowym filarom lotnictwa. Przeciętny widz czuł się w „ta pora“ szczęśliwy, jeśli choć okiem mógł rzucić zbliska na bohaterów.

Zdaje się, że nietylko ja, lecz cała prasa liczyła, iż w dalszych aktach przyjęcia... trafi do „otoczenia“. Stała się jednak rzecz nawet w Wilnie rzadka.

Otóż aranżerzy przyjęcia całkiem zapomnieli o prasie, dość podkreślić, iż nikt z redaktorów oficjalnego zaproszenia na czarną kawę w Aeroklubie nie otrzymał. Klapa na całej linji, raportuję nie bez zmartwienia redaktorowi naczelnemu.

— A co pan myśli robić dalej?

— Jutro — skanduję z emfazą (mimo, iż nie bardzo wierzę w to co mówię) Żwirko i Wigura w 100 procentach zaanektowani zostaną przez nas. I tak się stało.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Rano coś kwadrans po 9-ej anonsuję się przez portjera w hotelu Georges'a, obecnemu w numerze inż. Stanisławowi Wigurze. Por. Żwirko, mówi portjer, ho, ho, wstał bardzo wcześnie i już go od jakich dwóch godzin w hotelu niema.

Śladem portjera podążam. pod Nr. 5 na pierwszem piętrze. Nie upływa pół min., a vis a vis mnie staje genjalny konstruktor. Mocno jest zaaferowany i oświadcza, że z rozmowy to chyba nic nie będzie.

Widzi pan redaktor — ja naprawdę nie umiem dawać sobie rady z dziennikarzami i trudno mi z nimi rozmawiać.

— Ale ja sobie z panem inżynierem poradzę, odpieram swobodnie. Zamieniamy uścisk dłoni i idziemy do „Czerwonego Sztralla', dokąd właśnie rozmówca mój wybierał się na śniadanie. — Tam już napewno oczekuje na mnie Żwirko i w dwóch jakoś łacniej nie damy się redaktorowi — słyszę w odwecie.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

A otóż siedzimy już przy stoliku. Wywiad swój zaczynam od niewinnych pytań, które nie zdradzają mego istotnego zadania.

Z pana porucznika, to widać zaraz prawdziwy ptaszek, gdyż o świcie już pan na nogach?

— A jak pan chciał, być w Wilnie i nie iść pomodlić się do Ostrej Bramy, przecież wczoraj, mimo, iż tam się zatrzymałem, o skupionej modlitwie mowy być nie mogło.

Nie upływa pięć minut, a rozmowa toczy się żywo, jak wśród najbliższych znajomych.

Por. Żwirko zaczyna po przyjacielsku strofować swego towarzysza za brak apetytu. — Pan nie ma pojęcia ile mam z nim kłopotu, poza maszyną świata nie widzi, o każde jedzenie trzeba staczać z nim walkę.

Wigura na to śmieje się kokieteryjnie i bębni lekko palcem po stole.

— Pan inżynier istotnie wygląda nietęgo, choć ten tryb życia, o którym mówi porucznik nie widać, ażeby zbyt bardzo odbijał się na młodym czerstwym wyglądzie.

A propos wyglądu bardzo natrętne pytanie. Ileż to lat liczy sobie pan inżynier?

— Trzydzieści.

— Trzydzieści? No to mam chyba rację, gdyż liczę panu znacznie mniej.

— Kiedy redaktor nie wierzy, proszę obejrzeć paszport.

— Ale wierzę, wierzę.

— Oj Stasiu, Stasiu, mówię ci słuchaj mnie, a nie będziesz wyglądał tak... „szczeniakowato“ — przyjaźnie docina Żwirko.

Wszyscy parskamy śmiechem. W trakcie tego przemiłego śniadania wyciągam tyle informacyj od

swych interlocutorów, że mógłbym je rozwlec na pięć feljetonów.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Żwirko opowiada mi szczególiki ze swego „górnego" życia wileńskiego. Przebył tu kilka lat, „dociągnąwszy się" do 5 klasy w szkole realnej. — Panowanie moje — mówi z powagą, — było głównie na „Nowym Świecie". Tam to znam każde podwórko, każdy dom, ba nawet kamienie, o ile doczekały jeszcze na dawnych miejscach. W świat, t. j. do Rosji wywędrowałem niemal przymusowo. Nieuniknienie czekało mnie wojsko, a więc gdy mnie wzięli wstąpiłem do szkoły oficerskiej. Dalej byłem w Korpusie gen. Dowbora i oddziale gen. Żeligowskiego w okresie denikinowskim. W lotnictwie jestem od 1919 r. Karjerę swą zacząłem na Porubanku. Później szkoła lotnicza w Bydgoszczy, szereg więcej i mniej głośnych lotów, no i to co pan wie.

— A Wilno, jak porucznik znajduje teraz?

— Trudno jakoś się na ten temat rozgadywać, lecz, gdy byłem dziś samotnie w Ostrej Bramie, uprzytomniłem sobie, że tak, jak dawniej, jest mi drogie i bliskie.

— Pan inżynier — zwracam się do Wigury — zdaje się jest Wołyniakiem?

— Tak. Nawet raz chciał koniecznie spaść z samolotu na miejscu swego urodzenia, tak gdzieś między Łuckiem a... Lwowem — wtrąca Żwirko.

— Obecnie czuję się już Warszawianinem — z właściwym „regjonalnym" akcentem podkreśla konstruktor zwycięskiego RWD 6.

— Dużo pan pracuje?

— Jak to panu odpowiedzieć, nietylko ja przecież pracuję. Przy warsztacie samolotów jest nas czterech.

— Ile panowie wypuścili dotąd maszyn?

— Pięćdziesiąt siedem.

— A jakie są perspektywy rozwoju produkcji w owym „warsztacie"? Po ostatnim sukcesie chyba ożywione?

— Wszystko zależeć będzie od ilości zamówień i gotówki, a może pan czytał, iż jedno z pism francuskich nawoływało swe władze lotnicze, ażeby poczyniły zamówienia w Polsce. Zresztą — czas pokaże, w horoskopy się nie bawię.

Dalej z pięć minut rozmowy poświęcamy sprawie organizacji następnego „Challenge'u" w r. 1934, co w konsekwencji zwycięstwa Żwirki i Wigury spadło na Aeroklub Polski.

— Maszyn postaramy się wystawić przynajmniej dziesięć.

— Czy RWD 6?

— Może?!

W zakończeniu tej części rozmowy obaj lotnicy podkreślają dobrą organizację Niemców. Co do Francuzów, to prasa za złośliwie o nich pisała. Np. o rzekomej lekcji danej przez lotnika niemieckiego na temat Polski (o czem pisał korespondent „Gazety Polskiej" w n-rze 241 z dnia 31 sierpnia r. b. z Berlina)— nikt z naszych lotników nawet nie słyszał.

— A Włosi?

— Gdy wskutek rozwalania się maszyny po maszynie zostali odwołani — nam szczerze życzyli zwycięstwa.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Tu muszę wynurzenia lotników przerwać.

Por. Żwirko, mówi o oczekujących wizytach oficjalnych i prywatnych.

— Czy pan czasem nie zna adresów pani Wandy Świdowej i ks. Maciejewicza, gdyż bardzo pragnę ich odwiedzić, jako swych dawnych nauczycieli ze szkoły realnej.

— Zrobi się panie poruczniku. — Po dwóch minutach adresy mam.

— A gdzie urzędują wojewoda i prezydent miasta?

— Jestem do dyspozycji panów, zaprowadzę was, gdzie tylko zapragniecie.

— Zgoda i ślicznie dziękujemy. Zaczynamy od województwa .

Chwała Bogu myślę w duchu, że nikt mi nie przeszkadza.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

— Do Województwa komunikuję — mamy około trzech minut spacerowym krokiem.

— To znaczy?

— Na Plac Katedralny.

— Idziemy zatem pieszo konkluduje Żwirko. Tak, to istotnie blisko.

Odprowadza nas jeden z przyjaciół porucznika i szwagier p. Bolesław Szymkowski. Wokół nas robi się coś w rodzaju tłoku.

„Ci widziałasz Żwirka zeszedszy na miasto“ mówi, jakaś Józefuowoczka do kumoszki kwieciarki. Większość spotkanych panów, a głównie młodzież kłaniają się zwycięzcom.

Płeć nadobna łypie oczkami, że aż... skry się sypią.

Żwirko jest w swem popularnym berecie sportowym, Wigura z gołą głową.

— Dobrze, że i panowie nie potrzebują wymachiwać kapeluszami, czy czapkami wtrącam z uśmiechem. A to panie poruczniku, po kilku godzinach takiego spaceru po Wilnie, to chyba zrezygnować musiałby pan z kierowania samolotem.

Ot dobrze jest, słyszę w odpowiedzi:

A pan myśli, że w Warszawie jest z nami inaczej?

Przechodzimy właśnie przez ogródek, kierując się w otwarte drzwi gmachu wojewódzkiego. Stamtąd też już naszych bohaterów dojrzano — a tu skupienie przerywa Wigura.

„Franek, jak byłeś „szczeniakiem“ to w tym piasku grzebałeś się co? Słyszałeś już, jak mówiłem, że głównie „działałem“ na Nowym Świecie . Ale słyszy redaktor, odciął się za przytyk w cukierni.

W gmachu wojewódzkim poruszenie. Ze dwie minuty pozostajemy w poczekalni, gdyż akurat ktoś przed nami wszedł do urzędującego p. wice-wojewody Marjana Jankowskiego.

P. Jankowski z podwójnego swego stanowiska t. j. wice-wojewody i prezesa LOPP troskliwie wypytuje lotników jak się czują w Wilnie.

Przyjęcie nie ma cech „oficjalności", lecz trwa krótko, gdyż to już po 11-ej a tyle jeszcze spraw do załatwienia przed odlotem.

Porucznik ma kilka wizyt, obaj a jakże obiad, a do odlotu tylko trzy godziny. P. wice-wojewoda żegna lotników słowami: „do zoboczania w Porubanku". Lotnicy dziękują mu za troskliwość i serdeczność.

Na korytarzach, a głównie przy wejściu moc urzędników, przeważa oczywiście płeć piękna.

Pod nogi, kłaniających się we wsze strony lotników sypie się kwiecie: różnokolorowe astry i gwoździki. Zbieramy je z kurtuazją. Tego widocznie jeszcze mało. Dwie miłe panie wybiegają aż na ulicę. Jedna wręcza bukiet czerwono-fioletowych astrów Żwirce, druga takiż sam Wigurze. Chcą coś mówić, lecz wzruszenie im nie pozwala. Następuje wymiana uścisków dłoni i wprost kierujemy się do taksówki.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Co powiesz o Magistracie — mówi Żwirko do Wigury w czasie przepychania się po schodach.

— Tak, jak wszędzie. Kupy interesantów... i "śmieci wokoło", kończę zdanie małomównego konstruktora. Wchodzimy do historycznej prezydenckiej poczekalni... sali posiedzeń Rady Miejskiej. A oto otwierają się drzwi gabinetu i prezydent dr. Wiktor Maleszewski prosi nas do wnętrza.

Przerwaliśmy jakąś naradę finansową, uprzytamniam sobie—witając się z czcigodnym p. Adamem Piłsudskim. Poza nim w gabinecie komplet magistracki: a więc wiceprezydent Czyż, ławnicy dr. Safarewicz,

Kruk, sekretarz prezydjalny p. Dziewicki i bodaj obecny buchalter, którego dotąd nie znałem.

— Widzę, że propaganda robi się na całą parę stwierdza patrząc w moją stronę p. prezydent Maleszewski. Pozostaje panu tylko polatać na R. W. D. 6.

— Z całą przyjemnością zrobiłbym to i dziś, żeby czasu starczyło odpiera por. Żwirko.

— A może się znajdzie?

— Może.

— A jakiego tu na bruku wileńskim używają panowie środka lokomocji? zagaduje gości ktoś z gospodarzy.

— Własnych nóg i taksówki.

— Zgroza, a to auta Wam nie przydzielili? Zaraz Wam je dajemy oświadczają prezydent i jego zastępca.

A poco? Dobrze jest, jak jest, spieszyć musimy dalej, odpala szczerze por. Żwirko.

— Wykręty nie pomogą, zanim zejdziecie nadół już będzie nasza maszyna.

I tak się stało.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Na Magistracie, decydujemy skończyć z oficjalnemi wizytami, zwłaszcza, że chwila odlotu coraz bliższa.

Odwozimy inż. Wigurę do hotelu, gdzie ma przygotować wszystko do drogi, Żwirko tymczasem musi odwiedzić prywatnych znajomych. „Miałbym wyrzuty sumienia, gdybym nie odwiedził swych drogich nauczycieli p. Wandy Świdowej i ks. Maciejewicza. Pan nie ma pojęcia, jak mnie ich tutaj obecność łączy z Wilnem".

Pani Świdowej syn, klaruje mi w ślad zatem bohater przestworzy, był moim przyjacielem. Wie pan pewno o kim mówię o Jurku Świdzie, który kilka lat temu zginął śmiercią lotnika.

Po tem co usłyszałem, nawet odruchem nie chcę się zdradzić, iż zależy mi na zobaczeniu tej mającej być niewątpliwie b. wzruszającej sceny powitania sędziwej nauczycielki, i bolejącej matki po stracie syna ze swym kochającym uczniem i syna przyjacielem.

Żwirko wychodzi z mieszkania p. Świdowej głęboko wzruszony. Taki jeszcze moment czeka mnie u ks. Maciejewicza.

Jedziemy.

B. senatora ks. Maciejewicza również nasz bohater zastał w domu.

Ostatnia wizyta u matki innego swego przyjaciela z lat wileńskich nie dochodzi do rezultatu. Nikogo nie zastałem w domu, mówi zrezygnowany Żwirko.

Nie dam rady redaktorze, przerywamy objazd i jedziemy na obiad.

Do odjazdu na lotnisko pozostało pół godziny.

II.

W miarę, jak zbliża się termin odlotu Żwirki i Wigury do Warszawy, coraz dotkliwiej odczuwam iż moja rola cicerone i jedynego asystenta maleje. Nie mogę jakoś pogodzić się z myślą, iż niebawem znowuż wytworzy się koło nich otoczenie, które utrudniać zacznie mi pracę.

W westibulu hotelu zastajemy oczekującego na nas inż. Wigurę w asyście kilku panów. Najwięcej niepokoi mnie pan z aparatem fotograficznym, który z racji swych funkcyj dyrektora LOPP., ma zacząć z urzędu niejako czynić drogim gościom honory. Obiad właściwie już gotów, lecz kogoś tam jeszcze brak — odbija mi się o uszy. — To wspaniale, myślę sobie i proponuję energicznie: kilkuminutowy wypad samochodem na miasto. Jakże to moi panowie nie zwiedzić choćby w przebiegu Wilna?

Ktoś z nowego otoczenia odradza, że późno, lecz moja propozycja zwycięża.

Za chwilę, znów w trójkę, zajmujemy miejsca w aucie i mkniemy pełnym gazem na Antokol. Auto nasze przybrane kwiatami (od pań z województwa) tamuje, jakby tu powiedzieć ruch pieszy, po obu stronach jezdni tu i ówdzie dotarł nas okrzyk: „Żwirko i Wigura niech żyją!" Auto magistrackie, jak nigdy stało się popularne „Gazu, gazu, panie mechaniku" — wołam śmiejąc się do szofera, bo ulica nas zatrzyma i goście nasi spóźnią odlot.—Kochane drogie Wilno,— szepce Żwirko, Stachu, a przyjrzyj się dobrze kościołowi świętego Piotra i Pawła, czy ty wiesz, że to jedna z najpiękniejszych budowli w Polsce?

— Słyszałem coś o tem, ale może byś tak wykombinował co czasu na zwiedzenie wnętrza.

A otóż stajemy przed kościołem. Zachwyt nasz podziałał znać na Wigurę, bo obowiązkowo chce obejrzeć wnętrze. Teraz opiera się Żwirko. Nie, nie sposób. zabawimy tu kilka minut, jedziemy dalej pokażemy ci kościół świętej Anny.

Zawracamy. Szofer klaruje coś siedzącemu obok niego konstruktorowi RWD. 6. ,P. inżynierze, słyszę— „Napoleon ongiś powiedział, że gdybym mógł, tobym ten kościół przeniósł na ręku do Paryża". Oklepany to komplement o świątyni, lecz jakże brzmi w tej chwili przemile.

— Istotnie piękny — odpiera Wigura, wprawnem inżynierskiem okiem obrzuciwszy kościół w trakcie przejazdu auta.

— Tak, to kiedyś, gdy na dłużej do Wilna przylecę, będę musiał wszystko dokładnie obejrzeć, — mówi stanowczym głosem Wigura.

— A tu widzę odnawia się jezdnia — zauważa Żwirko, gdy mijamy róg Królewskiej, zawalony stosomi klinkieru.

— „Nowy Świat" Pana zato się mało zmienił, a nie ma porucznik ochoty wpaść tam na moment?

— Mam ale nie mogę, nie da rady, innym razem uczynię to napewno.

Zatem wracamy do hotelu. Wycieczka zajęła nam niespełna kwadrans czasu.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Obiadów i pijaństw, choćby w najmniejszej skali oficjalnych z zasady nie opisuję. Tu jednak muszę zrobić wyjątek. To pożegnalne „papu" zaaranżowane przez dyrektora Wil. Oddziału LOPP. p. Romera miało nieznane u nas tempo. Naprawdę było sympatycznie. Jest nas zaledwie 7 osób i nikt nie zaczął wznosić toastów i klepać stereotypowych frazesów. Obiad, ten, gdyby nie był u Georges'a, nazwałbym „strzemiennym".

Punktualnie o pierwszej zrywamy się od stołu. Na Boga, dopiero teraz skonstatowałem, jak ten inż. Wigura naprawdę mało je. Żwirko to choć wypił kieliszek wódki i kuper kurczaka ogryzł przyzwoicie, a ten nic, nawet wody sodowej nie wypił do dna. „Inżynierze, pan w stu procentach odżywia się powietrzem". Powiedziałem to jakby do siebie, gdyż bohaterzy nasi przyjmują właśnie gratulacje od goszczących u nas dziennikarzy włoskich pp. Dario Lischi i Egisto de Andreis, których sprezentował asystujący im poeta p. Tadeusz Łopalewski.

Włosi, jakby czekali na moment powstania przy naszym stoliku. Pierwsi z objawami żywej sympatji przystąpili do zwycięskich lotników. Tacy to już są zawsze rasowi dziennikarze.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Ludność Wilna, znać doskonale zapamiętała sobie termin odjazdu lotników na Porubanek. Przez całe miasto, aż do skrawka szczerego pola za Kominami jedziemy wzdłuż żywego szpaleru.

Niestety nie mogę czytać wrażeń z twarzy lotników, gdyż jadą tym razem w aucie p. Włodzimierza Kureca pod pieczą dyrektora LOPP.

Na lotnisku, gdzie jeszcze pełna godzina pozostała do startu RWD 6. oczekiwało już lotników parę setek osób. Gros publiki zwracającej na siebie uwagę stanowią młodzi adepci kunsztu latania, zgrupowani w Aeroklubie. Prym oczywiście wiodą panie z milutką przyszłą gwiazdą Porubanka p. Hanką Przygodzką na cze-

le. Na coś się tam w tej barwnej, szczebiocącej grupce zanosi, lecz na co, nie zdaję sobie jeszcze sprawy.

— Zobaczysz. — mówi, do swego podtatusiałego towarzysza jakiś czterdziestoletni chyba podlotek, — że ona się nie ulęknie i napewno poleci. Żwirko jej to obiecał i napewno słowa dotrzyma.

— Nie zawracajcie głowy, kobity rezonuje w pobliskiej gromadce suchy, jak badyl, student: — oni nie mają czasu, zresztą bez paszportu nikogo do Rygi nie puszczają.

— Ależ ona nie poleci do Rygi, tylko „oblata" RWD 6.

W tym momencie, paru podoficerów pilotów wytacza z hangarów RWD 6.

Mam uczucie, że żółć zazdrości mnie zaleje. Do samolotu zwinnie ładuje się „różowa panienka". Obok niej siada Żwirko.

— Patrzcie! patrzcie! Anka siadła przy sterze.

Istotnie. Lecz RWD 6. ma dwa stery — prostuje ktoś inny, lepiej znać obeznany z tego typu maszyną.

—Panie poruczniku — wołam do Żwirki — z mego lotu to chyba dziś nic?

—Niestety, pani wczoraj jeszcze przyrzekłem. Drugi raz, jak przylecę z odczytem, bez Wigury, to niech redaktor się zgłosi.

Jestem uradowany i już nie czuję żalu do „różowej panienki". Dla niej toć przecie lekcja, niebawem sama zacznie latać, a dla mnie tylko temat do feljetonu. Wykorzystam go kiedyindziej.

Lot „dżentelmeński“ Żwirki z przyszłą gwiazdą Porubanka jest zachwycający, „świeca za świecą“, próbne lądowanie oraz parokrotne wzięcie wiraży, wreszcie triumfalne splanowanie, jakby na mecie „Challenge'u“.

„Spółbohaterka“ tego dziesięciominutowego lotu propagandowego jest przedmiotem owacji wszystkich.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Tak jakoś zżyliśmy się w tej jednej niespełna dobie z najsławniejszymi obecnie reprezentantami naszej awiacji. Słowem epokowem zwycięstwem Żwirko i Wigura sprawili cud zespolenia się uczuć radości i dumy całego narodu. Wilno „rozkręciło się“ na dobre. Na lotnisku w Porubanku, mimo iż oblepiły je przy powitaniu bohaterów wielotysięczne rzesze nie było polityków i napewno nikogo czującego inaczej, jak wszyscy. Cześć dla Zwycięzców!

Przy pożegnaniu drobna cząstka zaledwie tej wczorajszej masy, lecz nastrój w równej mierze niezwykle podniosły.

A otóż RWD 6. gotowy do drogi, obejrzał go, opukał nikiej najtroskliwszy lekarz konstruktor, ba nie spuścił nawet zeń oka przy nalewaniu benzyny i wytaczaniu z hangaru.

— Franek, gotowe! Pokwituj benzynę — rozlega się po dłuższem milczeniu jego miękki głos.

Zbliża się ostatni akt wizyty.

Pożegnanie. Ci, co oblegają awionetkę, toć to już wszystko zażyli przyjaciele lotników. Atmosfera iście rodzinna. Żwirko i Wigura dochodzą, jakby tu powie-

dzieć, do głosu począwszy od ściskającego ich dłonie p. wicewojewody Jankowskiego i p. wiceprezydenta miasta Czyża dla wszystkich mają ciepłe słowa podzięki, temu i owemu, coś specjalnego, jakby na pamiątkę — do powiedzenia. Z tym i owym, szczególnie Żwirko, który odzyskał w tej dobie z dziesiątek chyba dawnych przyjaciół wileńskich, zamieniają siarczyste pocałunki.

Wśród żegnających niema „oficjozów", wszystko to są przyjaciele i wielbicielki.

— Widzieliście mówi mi jeden ze znajomych, jak się Żwirko całował z Czyżem?

— Nawet dwukrotnie, bo to samo było na przyjęciu w Magistracie.

— A gdzież oni już zdążyli wypić bruderszaft?

— Czyż to koniecznie zawarcie przyjaźni oblewać trzeba — odparłem niechętnie.

—Redaktorze — zwraca mi uwagę inny znajomy. Ale po tych całowaniach to może być deszcz?

Furda!

Patrzcie lepiej, jaką Żwirko „dał świecę".

W pozłocie słonecznej malała nad nami epokowa awionetka RWD 6.

Jakież uczucia łopotały w sercach Żwirki i Wigury, którzy musieli jeszcze słyszeć tam w górze okrzyki: Niech żyją!

Na starcie pozostała garść kwiecia.

Dziś gdy ten feljeton będzie do twego użytku drogi czytelniku, Żwirce i Wigurze hołd oddawać będą osady lotnicze na konkursie międzynarodowym w Pradze.

Gdyby nie to, że w sobotę czekał Żwirkę i Wigurę odlot do Pragi zabawiliby jeszcze drugą dobę u nas.

Po wizycie w Pradze, pojadą niedługo do Budapesztu i Sofji, a kto wie czy w kolejności nie przyjdzie im zadośćuczynić zaprosinom i innych jeszcze zagranicznych aeroklubów.

W międzyczasie tych triumfalnych zagranicznych wizyt, kontynuować będą, zapoczęte od rodzinnego miasta Żwirki loty propagandowe po Polsce. Najdalej za dziesięć dni Żwirko będzie miał w Wilnie odczyt na rzecz rozwoju naszej awiacji.

Najbliższy „Challenge“ w r. 1934 winien potwierdzić osiągniętą w tym roku przez pilotów i konstruktorów naszych wysoką klasę polskiego lotnictwa *).

---

*) Feljeton ten ukazał się w dwuch kolejnych numerach „Kurj. Wil.“ Cz. I Nr. 207 z dn. 10 IX. i Cz. II Nr. 208 z dn 11 IX.

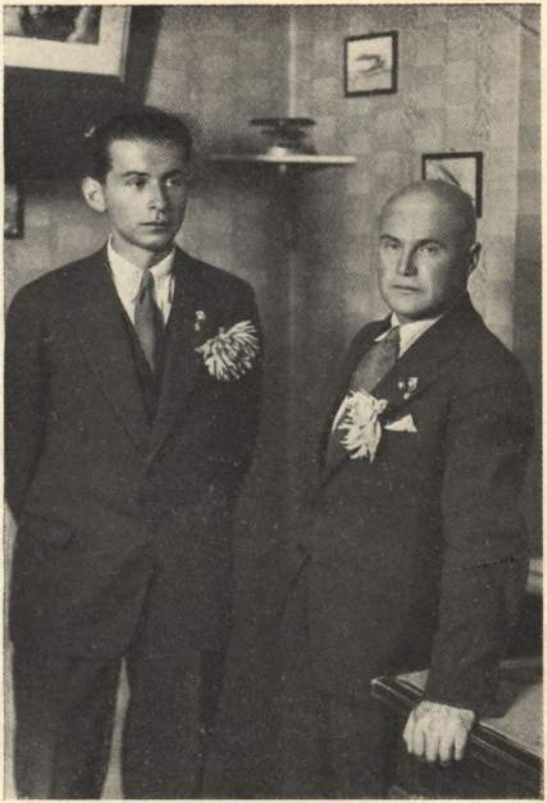

Fo.. art. L. Siemaszko.

Inż. St. Wigura i por. Fr. Żwirko
w Aeroklubie Wileńskim.

TRAGEDJA ZWYCIĘZCÓW.

Niedziela 11 września.

Przypada mi smutna rola. Depeszę o tragedji naszych bohaterów pod Cierlickiem na Śląsku Cieszyńskiem uzupełniane są coraz nowemi szczegółami. Redakcja decyduje się wydać specjalny numer. Nie ma dwuch zdań, iż miast kontynuować swój reportaż zmuszony jestem pisać pozgonne i garść świeżych, jakże świeżych wspomnień.

„Żwirko i Wigura nie żyją! Wiadomość ta jak grom spada na nas. Jak się to stało, że ci najsławniejsi i najmilsi sercu każdego Polaka zwycięzcy przestworzy zginęli w okolicznościach, które w nikim nie mogły budzić obaw o ich życie?

Będą, zapewne będą, długie, żmudne dochodzenia, ekspertyzy szczątków historycznej awionetki RWD. 6, które wyświetlą, albo i nie, przyczynę tej niezwykłej katastrofy.

Żwirko i Wigura, jak wiadomo, lecieli do Pragi, zadośćczyniąc zaproszeniu czeskiego Aeroklubu, który pragnął ich widzieć i uczcić z okazj zorganizowanego tam, międzynarodowego zlotu gwiaździstego.

Wczoraj jeszcze zdając relacje z ich pobytu w Wilnie, pisałem:

„Dziś, gdy ten feljeton będzie do twego użytku drogi czytelniku, Żwirce i Wigurze hołd oddawać bę-

dą osady lotnicze na konkursie międzynarodowym w Pradze".

A tu taki tragiczny zawód.

Żwirko i Wigura powiększyli zastępy tych, co „zginęli śmiercią lotnika". Nazwiska ich należą już do historji. Laury, które zdobyli złożymy im na grobie.

Żal i nieokreślony ból targa naszemi sercami.

Jakże nieprzewidziany jest los człowieka. Ani chwili, ani godziny nie zna, kiedy mu przypadnie rozstać się nazawsze z tym padołem ziemskim.

Ten nagły, tragiczny zgon Żwirki i Wigury okrywa żałobą całą Polskę. Opłakujemy ich wszyscy, tak, jak wczoraj jeszcze szczyciliśmy się ich zwycięstwem na podniebnych szlakach.

Doprawdy jakieś fatum prześladuje nasze młode lotnictwo. Okrywszy się chwałą przez świeże zwycięstwo swej osady na ostatnim Challenge'u, stanęło do zapasów o prymat w lotnictwie europejskiem. Wszystkie nadzieje na osiągnięcie z czasem tego ambitnego celu ześrodkowane były właśnie na genjalnym konstruktorze Stanisławie Wigurze i mistrzowskim pilocie Franciszku Żwircu.

Dziś te nadzieje zasłonił nam śmiertelny całun.

Życie jednak pójdzie swoim trybem naprzód. Dla świętej i sławnej pamięci Żwirki i Wigury zachowamy cześć. Na ich historji muszą się hartować zastępy przyszłych bohaterów przestworzy.

U ich grobu złożony być musi ślub, iż z osiągniętej pozycji w lotnictwie europejskiem nie damy się wyprzeć.

Boć to raz śmierć czyniła spustoszenie w szeregach najdzielniejszych bojowników o mocarstwową pozycję w świecie Rzeczypospolitej Polskiej?

Śp. śp. Żwirce i Wigurze przypadła w udziale rola torowania drogi do potęgi Polski na podniebnych szlakach. Jak się z tej roli wywiązywali Ojczyzna nie zapomni im nigdy. Pozostaną oni chlubą młodego lotnictwa polskiego i wzorem dla swoich następców. Że nie zbraknie ich — możemy być pewni".

— —

MOJA OSTATNIA POSŁUGA.

Niedziela 11 września.

Toć to dwa dni jeszcze nie minęło jak Wilno przeżywało moment wzruszającego entuzjazmu, goszcząc tu swego ziomka, bohatera europejskiego Challenge'u, por. Franciszka Żwirkę i konstruktora jego zwycięskiej awionetki RWD 6 inż. Stanisława Wigurę.

Radowało się Wilno, gdyż Żwirko powiększył zastęp sławnych ludzi tutejszego pochodzenia, gdyż dzięki niemu lotnictwo nasze okryło się laurem i imię Polski znów rozbrzmiewało po szerokim świecie.

Pisząc swoją relację z pobytu w Wilnie poległych wczoraj na ziemi czeskiej tragicznie lotników, nie pomyślałem nawet, azali może przytrafić się im najmniejszy choćby wypadek.

Jakże czułem się szczęśliwy mając obietnicę Żwirki, iż za tydzień, gdy przybędzie tu w celu wygłoszenia odczytu polecę przy jego boku do Warszawy.

Co to mówić o mnie straceńcu, uganiającym się całe życie za wrażeniami, każdy, najbardziej dbały o swe bezpieczeństwo śmiertelnik bez wahania, gdyby tylko mu się zdarzyło, poleciałby na samolocie, kierowanym ręką najsławniejszego naszego lotnika. —

Żwirko i Wigura nie żyją. Pióro drży mi w ręku i słów znaleźć nie mogę na skreślenie tak świeżych jeszcze wspomnień.

Tych kilka godzin, w ciągu których miałem zaszczyt przebywać w ich towarzystwie nie zapomnę chyba do końca życia. Radość rozpierała mi piersi, iż udało mi się zrobić z ich wizyty wileńskiej obszerną relację.

Wynurzenia ich osobiste wrażenia i spostrzeżenia wykorzystałem zaledwie w cząstce. Tyle jeszcze radosnych rzeczy pozostało mi do napisania... Wszak w dodatku czekało mnie jeszcze przeżycie przelotu w epokowej awionetce RWD 6 na trasie Wilno — Warszawa.

Dziś to wszystko przepadło. Więcej już nie ujrzę kochanego oblicza sławnego porucznika, już więcej marzyć mi nie wolno o wspólnym z nim locie.

Boże drogi, jakież ci ludzie mieli piękne horoskopy życia przed sobą. Śp. Żwirko i Wigura czuli na swych młodych barkach ciężar najlepszych nadziei całego narodu. Zrozumiałem to w czasie indagowania ich na temat co myślą o organizacji przyszłego Challenge'u przez Polskę.

Najgorętszem ich pragnieniem było, ażeby organizacja wypadła choć tak, jak ją przeprowadzili Niemcy.

— Pan nie ma pojęcia ile oni włożyli w nią pieniędzy i energji. Nasze czynniki obliczają, iż minimum musimy zdobyć się na wyłożenie dwóch miljonów zł. Ułożenie trasy będzie zależało całkiem od organizato-

rów. Osobiście, jak sobie dokładnie przypominam — mówił Żwirko, pragnę by objęła wybrzeże mórz Śródziemnego, Czarnego i Bałtyku.

Wynurzenia na ten temat odłożyłem do specjalnego artykułu p. t. „Jak winien być zorganizowany Chal lenge europejski w roku 1934 przez Polskę.

— Oczywiście, wtrąciłem, porucznik pragnie ażeby na jeden z etapów wyznaczone zostało Wilno"

— Więcej, by tu był start lub meta. Szczęśliwy bylbym, gdyby właśnie była tu meta.

— Byłoby wspaniale, ale czyż Porubanek na to się nadaje?

— Najzupełniej, przecież lotnisko mają jeszcze rozszerzyć.

— A hangary?

— Oczywiście zależało będzie to od środków pieniężnych ale i w Warszawie są konieczne inwestycje

— Panie poruczniku, czyż ten cel przyświeca rozpoczętym objazdom propagandowym panów po Polsce?

— Odnoszę wrażenie, że redaktor ma aspirację na mego spowiednika.

— Nie ! Jestem tylko dziennikarzem.

— A więc przypuśćmy, że ja osobiście chcę tej właśnie idei służyć.

— Poruczniku, jestem zachwycony błagam pana nie sprzeciwiaj się, że to napiszę.

— Nie chciałbym ażeby to, co pan chce napisać potraktowane było przez kogokolwiek jako trick rek lamowy.

— Czyżby ktoś śmiał?

— A może?

Po tym rewelacyjnym djalogu odbytym bez świadków, w czasie przejazdu autem przez ulice Wilna, ś. p. por. Żwirko wykłada mi jakieby to miało kolosalne znaczenie dla Wilna.

Słuchałem tych wynurzeń z prawdziwem wzruszeniem. Ot, to jest prawdziwy patrjota, to jest w pełnem tego słowa znaczeniu Wileńczuk, myślałem w tej chwili.

Ś. p. Żwirko i jego przyjaciel poległy wraz z nim ś. p. inż. Wigura, a szczególnie ten ostatni, jak to już pisałem między wierszami w swych poprzednich relacjach, jak tylko umieli wypraszali się od oficjalnego interviewu. Miałem nielada zadanie, by przekonać ich, że mój reportaż nie będzie miał cech rewelacyjnego „szlagieru" dziennikarskiego. W pewnym momencie oświadczyłem, iż słowa nie wydrukuję zanim nie przeczytają rękopisu.

— Zaprotestowali.

— Osobiście jestem ryzykantem odparł ze śmiechem Żwirko, wierzę, iż pan nic nie napisze z czego musielibyśmy się tłumaczyć.

— A pan, inżynierze?

— Ja mam ambicję być ścisłym, wszelkie błędy staram się korygować.

— Redaktorze, uzupełnia to Żwirko, on już taki, od maszyny, której jest głównym współtwórcą dzień i nocby nie odchodził. Ileż to razy już go błagałem: Stachu, zrujnujesz zdrowie, a wówczas co, żadnej już nagrody nie zdobędziemy.

Widzi pan, kontynuuje Żwirko, ja osobiście uważam Wigurę za swoją mascottę. Jak z nim lecę to staram się nic nie myśleć. Jakby tu powiedzieć wyczuwam jego puls. Jednem okiem zerkam od czasu do czasu na twarz. Jak się zmęczę to mogę obydwa zamknąć. Na ten przykład przytoczę panu szczegół dla speców małoznaczący w czasie przelotu przez Alpy. Lecimy przez mgły nic nie mówiąc. Nagle odzywa się Wigura: Franek, wiesz jaka tu jest wysokość gór?

—Ty wiesz, to wystarczy.

—Coś około 2.000 metrów.

— A my?

— Spojrzeliśmy sobie w oczy, coś ponad 200.

— Niech się pan nie dziwuje. Tak należało. Za chwilę daliśmy świecę, nikiej nad lotniskiem, gdzie zadziera uszy w górę setki czy tysiące widzów.

Wspomnienia z tej beztroskiej rozmowy, w trakcie której „przelatywaliśmy" z tematu na temat, na tem kończę.

Polegli lotnicy stanowili idealną załogę samolotu. Obaj, każdy w swoim zakresie, byli mistrzami. Na wzorze ich, oby zaprawiali się do zwycięstw w przestworzach wszyscy młodzi adepci sztuki latania.

W celu należytego ich uczczenia i uwiecznienia w pamięci Wilna rzucam inicjatywę:

Lotnisko w Porubanku należy nazwać imieniem ś. p. Franciszka Żwirki; Wilno musi ufundować samolot imienia obu bohaterów.

BIBLIOTEK